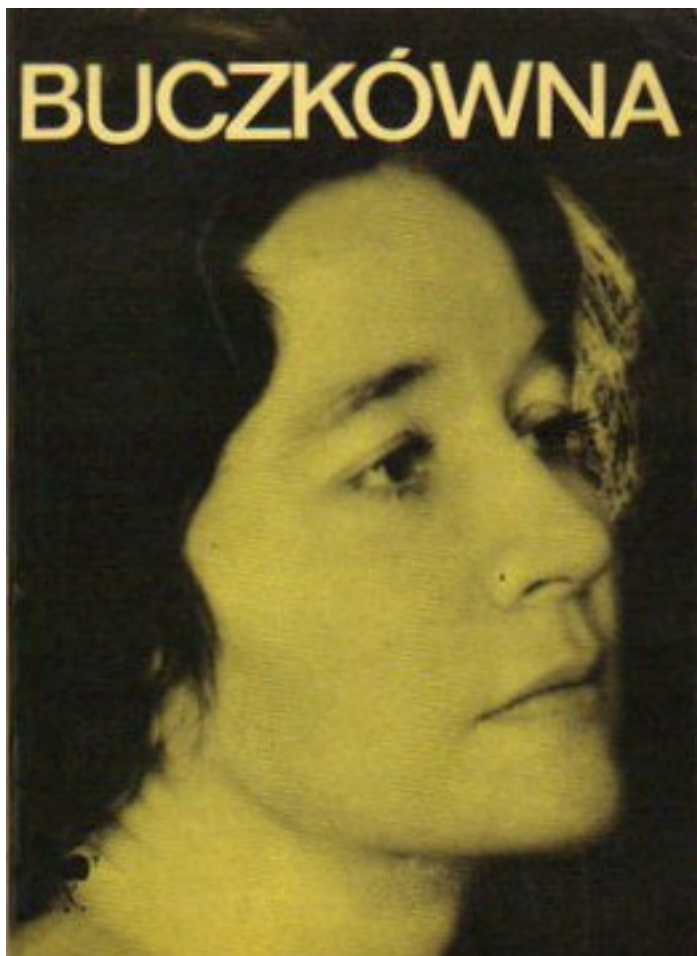


## Ta kochana Miecia. Wspomnienie o Mieczysławie Buczkównie

Witold Malesa-Boniecki

Na krótko przed śmiercią zniknęła z mego pola widzenia. Ludzie, którzy ją znali, nie wiedzieli, czy żyje czy też nie. Wiedzieliśmy, że nie mogła już sama mieszkać, że nie dawała sobie rady. Syn miał nową rodzinę, młodą żonę i małych synów. W ich wspomniałym nowym domu nie było miejsca i czasu na starość, trudną, kapryśną, a czasem wręcz nieznośną. W domu Zaiks-u w Konstancinie wypytywałem Jacka Bocheńskiego, co dzieje się z Mieczysławą Buczkówną, ale i on nic nie wiedział. I nagle siedząc w kawiarni przeglądam starą gazetę, a w niej nekrolog, a właściwie kondolencje dla syna: nie żyje znakomita poetka - Mieczysława Buczkówna, wdowa po Mieczysławie Jastrunie.



Okladka tomu pt. Poezje wybrane. Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1974 r.

Moje najdawniejsze wspomnienia o Mieczysławie Buczkównie sięgają czasów jej mieszkania na ulicy Iwickiej, w którym mieszkała jeszcze razem z mężem i synem, w słynnym domu literatów, opisanym po latach przez syna Tomasza. W czasach, gdy ja tam bywałem, mieszkała w tym dużym, całkowicie zapuszczonym mieszkaniu zupełnie sama. Było to już po śmierci Stanisława Kowalewskiego, pisarza, jej wielkiej miłości, któremu poświęciła wiele miłosnych wierszy. Mieszkanie było całkowicie zagrazone i opuszczone, widać, że nie panowała już nad porządkiem. Wszystkie ściany wypełnione były regałami z książkami, które leżały tam w całkowitym nieładzie. Książki leżały też wszędzie: na podłodze w przedpokoju i w kuchni, w łazience, pod stołami, na kilku wytartych fotelach. Gdy chciało się usiąść, trzeba było zdjąć z fotela całą stertę książek i pozótkłych gazet. Goście częstowani byli herbatą w starych porcelanowych filiżankach. Je również stawiało się na ogół na książkach na regałach. Pomiedzy regałami w cienkich ramkach wisały reprodukcje tak ukochanych przez Mieczysława Jastruna wizerunków madonn włoskich mistrzów. Miecia wstawiała rano, zasiadała na składanym turystycznym krzeselku do maszyny do pisania, stojącej na kempingowym stoliku po środku przestronnej kuchni i tam pisała codziennie rano swoje wiersze i książki dla dzieci. Była osobą zupełnie nie z tej ziemi. Przez długi czas wyglądała bardzo młodo. Jak wiadomo cierpiała przez całe życie na silną depresję, która na długie miesiące wyłączała ją z

życia. Twierdziła, że dlatego tak młodo wygląda, bo czas przeżyty w depresji nie był żadnym życiem i należało go odjąć od jej faktycznego wieku. Ale kiedy depresja mijała, Miecia natychmiast była pełna optymizmu, zabierała się za pisanie, robiła plany. Lubiła bardzo ludzi i potrafiła być im wdzięczna. Dedykowała im swoje wiersze. Pozostała też do końca życia dzieckiem, ciągle płatającym figle. Często pożyczła lub zabierała ludziom jakieś rzeczy i im ich nie zwracała. A oni krępowali się upomnieć. Kiedy przychodziła do kogoś w gości potrafiła zabrać cukierki lub ciastka z talerzyka ze stołu do kieszeni, gdy gospodarze udawali się do kuchni. Było to chyba też związane z czasem wojny i z głodem, którego wówczas doznała, bo wszędzie gdzie była w Sopocie, w Oborach czy w Konstancinie gromadziła jedzenie w lodówce czy w swoim pokoju. To jedzenie musiały potem pokojówki wyrzucać na śmietnik, bo się psuło.

Przez kilka kolejnych lat mieszkałem w domu Zaiks-u w Konstancinie w sąsiednim pokoju. Wtedy to najbardziej zaprzyjaźniłem się z Miecią, która prawie natychmiast mimo znacznej różnicy wieku zaproponowała mi bruderszaft. A byłem o dziesięć lat młodszy od jej syna. Miecia lubiła, by ktoś się nią opiekował. Wtedy głównym jej opiekunem był Jacek Telus. Jeździła z nim często do Wrocławia, podróżowała po Polsce. Kiedyś w środku lata wybrała się z Jackiem na wycieczkę do Barcelony, bo zawsze marzyła, by tam być. W szarym codziennym życiu każdego człowieka stawała się cudownym egzotycznym motylem, który jakby przysiadł na brzegu tej szarzyzny.

A trzeba przyznać, że do końca życia była wrażliwa na męską urodę i czułem wyraźnie, że zawsze patrzyła na mnie jak młoda kobieta patrzy na mężczyznę. Zawsze widać było, że ocenia mężczyznę pod względem wyglądu. Lubiła mężczyzn młodych, przystojnych, lubiła też inteligentnych. Wśród kobiet literatek nie miała przyjaciółek, nie ceniła ich, nie miała zaufania do takich poetek, które wprost nigdy nie pisały o swoich uczuciach. Nie rozumiała poezji ani Wisławy Szymborskiej, ani Urszuli Koziół, ani Julii Hartwig. Wzbudzały w niej podejrzliwość. Przyjaźniła się jedynie z wdową po Sewerynie Pollaku - Żenią Siemaszkiewicz, doskonałą tłumaczką Anny Achmatowej. Nie lubiła też rozmawiać o wierszach Mieczysława Jastruna, ani o jego wierszach, ani o jego doskonałych przekładach Baudelaire'a czy Rilkego. Natomiast uwielbiała i chwaliła wiersze swojego syna, twierdziła, że to on doczeka się kiedyś Nagrody Nobla. Kiedyś w złości, gdy zacząłem mówić o jej mężu, przerwała mi ostro: „Przestań mi stale opowiadać o tym przeklętym Agatsteinie!”

Twierdziła, że była żoną zdradzaną, szczególnie nie cierpiała pani Heleny, o której powtarzała z przekąsem: „No i jeszcze ta Helenka...” Teraz po wielu latach, gdy większość ludzi już nie żyje, możemy chyba o tych sprawach otwarcie mówić.

Nie była osoba praktykującą, ale nie była też agnostyczną. Bardzo pragnęła Boga. Wiem, że często, gdy było jej źle, modliła się. We wszystkim była tajemnicza, jakby niedopowiedziana, trudno przewidywalna. W Konstancinie w nocy często nie mogła spać, stukwała więc trzy razy w ścianę pokoju, co oznaczało, że nie śpi i że chce, bym do niej przyszedł. W pokoju panował artystyczny nieład, dookoła leżały książki, gazety i czasopisma. W słoikach i plastikowych butelkach po wodzie mineralnej stały zasuszone kwiaty i gałęzie. Mówiła, że tak właśnie ustawiał kwiaty i zioła w swoim pokoju w Oborach Miron Białoszewski. Miecia witała mnie w szlafroku i zaraz proponowała kieliszek wódki. Uważała, że gdy w nocy spotyka się kobieta z mężczyzną, to na stole musi pojawić się wódka. Czasami mówiła, że chciałaby zjeść coś słodkiego i robiła minę bardzo kapryśnego dziecka. I wtedy przynosiłem jej z mojego pokoju kawałek czekolady lub ptasie mleczko, które szczególnie lubiła.

Był to czas, gdy dojeżdżałem z Konstancina prawie codziennie do radia w Warszawie, byłem więc na ogół wieczorem bardzo zmęczony. Nie pamiętam więc dokładnie tych nocnych rozmów, tylko fragmenty z nich pozostały w mojej pamięci. Pamiętam, że po katastrofie smoleńskiej Miecia bardzo przeżywała sytuację Jarosława Kaczyńskiego. Twierdziła, że sama nie przeżyłaby podobnej traumy: śmierci brata-bliźniaka z żoną i choroby sędziwej matki. Niezwykle mu współczuła. I wiem, że często dochodziło do sporów na ten temat, jej z synem.

Bardzo kochała swoje wnuki. Zarówno starszego Daniela, jak i dwóch młodszych – Franka i Antka. Kiedyś opowiadała ze łzami w oczach, jak Franek dziwił się, że ojciec ją całuje.

„Dlaczego całujesz Micię?” - zapytał.

„Bo to moja mamusia” - odpowiedział zdziwionemu malcowi pan Tomasz.

„To ty też masz mamusię!” - zdziwił się.

Koniecznienie chciała, by rodzice ochrztili jej wnuki.

Przypominam sobie, że denerwowało ją, gdy mówiono o polskim antysemityzmie, wysanym rzekomo z mlekiem matki. Twierdziła, że nie ma żadnego antysemityzmu wysanego z mlekiem i że w ogóle to nic nie można wyssać z mlekiem matki. Dodawała, że antysemityzm jest i się zdarza, ale zawsze jest i musi być czymś konkretnym spowodowany. Dlatego też nie cierpiała książek Jana Tomasz Grossa. Twierdziła, że rodzą tylko coraz większą nienawiść.

Bardzo się przejmowała sytuacją finansową syna. Stale mówiła, że ma dobrą emeryturę, ale musi pomagać synowi, który zaciągnął duży kredyt na budowę domu. Kiedyś zapytała się mojej mamy, czy nie mogłaby jej dać starego stanika, bo ona nie może sobie nic kupować. Twarz smarowała sobie masłem, więc pewnego razu kupiłem jej duże opakowanie kremu do twarzy.

Lubiła wspominać przedwojenne czasy, które spędziła w różnych jednostkach wojskowych, gdzie stacjonował jej ojciec oficer-legionista. Podkreślała patriotyczną atmosferę swego domu. Wspominała też czasy wojny spędzone w internacie Sióstr Nazaretanek w Warszawie. Gdy po upadku powstania warszawskiego, musiała wraz z siostrami opuścić budynek klasztoru, siostry przebrały ją w habit, by nie rzucał się w oczy jej semicki wygląd.

Nie używała komputera, dlatego też często prosiła, bym przepisywał jej wiersze. Bardzo lubiła czytać je na głos. Raz w zimie przyjechała do radia samochodem na nagranie. Było ślisko, miała nałożone na kozaki antypoślizgowe ochraniacze. Nie zauważyła schodów przy wejściu, poślizgnęła się i upadła. Leżała przez jakiś czas nieruchomo. Bardzo się wtedy przestraszyłem.

Miecia była jedna z pierwszych osób w Zaiksie w Konstancinie, która używała kijków do nordic walking. Czasami chodziliśmy razem z tymi kijkami do lasu. Pamiętam te nasze długie spacerunki wśród zasypanych śniegiem sosem chojnowskich lasów. Pamiętam zaczerwienione policzki Mieci i śmiech na twarzy. Wiem, że była wtedy szczęśliwa. Kiedyś wybraliśmy się razem na zakupy. Gdy załatwiłem swoje sprawunki, spytałem Mieci, dlaczego nic sobie nie kupiła. „Bo ja ma tylko jedną złotówkę” - odpowiedziała jak matę, sprytne dziecko, które wie, że zaraz ktoś za nią zapłaci.

I taka była ta Miecia - czarnowłosa i czarnooka, w wełnianej czapce na głowie. Duże, nigdy nie starzejące się dziecko, opowiadające bez ogródek o swoich kuracjach antydepresantami, o pobytach w psychiatrykach i o tej swojej stałej gotowości, by w tym dziwnym otaczającym ją świecie kochać i być kochaną.

Witold Malesa- Boniecki  
grudzień 2015 r.